

Czas sąsiadów

Ocalmy od zapomnienia. Szukamy w Europie pola kulturowej tolerancji i zrozumienia różnic społecznych skutków tej samej historii.

CZAS SĄSIADÓW

To był kiedyś niemiecki cmentarz, tu wszędzie mieszkali Niemcy. - kobieta przez płot wskazuje sąsiednią kępę drzew obok szosy - ja tę chałupę kupiłam dopiero dwanaście lat temu, ale przed sześcioma laty przyjechał jeden mężczyzna i powiedział, że się tutaj urodził. Nazywał się chyba Sznajder, jak wszedł, to się bardzo wzruszył, że niewiele się pozmieniało. Pozwoliłam mu przenocować i wtedy powiedział, że jego rodzice pochowali tu swoich rodziców. A kto dziś tam rozpozna jaki grób, nie ma nic oprócz tego co straż pożarna musi sprzątać



Za kępy drzew sterczą pokruszone filary od furty, a dalej za polem, kompleks niskich budynków mieszkalnych. Rąbieńska to dziś ruchliwa ulica, bo tak jak i Złotno, czy Podchorążych prowadzi przez nowe osiedla do podmiejskich tras komunikacyjnych. Sporo tu jeszcze pól i wyrosniętych drzew, za to coraz mniej wolnych działek budowlanych. Małomiasteczkową sielskość dawnego przedmieścia psują sypiące się już kamienice i drewniaki na tle wypieszczonych willi wśród wymyślnych ogrodzeń. Nowe Złotno się zestarzało, za to Stare staje się nowoczesną kolonią mieszkalną.

Pan Władysław Szewczyk urodził się na początku ulicy Rąbieńskiej pod koniec pierwszej wojny światowej. Ojciec na początku dwudziestego stulecia przyjechał do Łodzi w poszukiwaniu pracy. W 1905 roku za pepeesowskie wyczyny znalazła go policja i wysłała do dalekowschodniej guberni. On jednak uciekł, zamieszkał na Rąbieńskiej i założył rodzinę jeszcze przed wybuchem "Wielkiej wojny". Pan Władysław zaś od 1918 roku wyrastał już w centrum wolnej Polski - choć pośród Niemców. Co więcej, rodziny polskie na Złotnie Nowym i Starym były w zdecydowanej mniejszości od drugiej połowy dziewiętnastego wieku. Stało się tak, gdy doszło do rozparcelowania zadłużonego majątku Jagodnica. Część działek przejęli miejscowi chłopi, uwłaszczani przez carat pod presją Powstania Styczniowego, zaś na resztę znaleźli się kupcy właśnie z Niemiec, tacy jak Schmidt, Grunwald i Petrych, którzy okoliczne piaski postanowili wykorzystać do produkcji szkła. Zainwestowali w budowę huty i ściągnęli fachowców. Sam majątek z przyległymi działkami kupił niejaki Stendel, o którym mówiono, że pochodzenie i obyczaje miał szlacheckie. Schmidt za to nie poprzestał na hucie, lecz w sąsiednim Złotnie pobudował fabrykę włókienniczą nad rzeką Bałutką oraz domy dla rodzin niemieckich tkaczy. Za nimi przybyli inni rzemieślnicy, których od Łodzi po Zgierz zawsze brakowało i tak małe biedne wioski przemieniały się w ludne osiedla. Ponieważ sama Łódź też zaczęła puchnąć w szwach od najazdu chętnych do pracy w nowych fabrykach i manufakturach, ilość osiedleńców w okolicach szybko się zwiększała. Na Złotnie i Jagodnicy ziemie były marne, więc i ich cena była niska między 300 a 500 rubli za

działkę budowlaną. Budowano się byle jak, a rosyjskie władze nie interesowało to zupełnie.

Huta Jagodnica spłonęła z nieznanych dziś przyczyn, za to fabryka Schmidta przy Siewnej (dzisiejsza "Vera") rozwijała się znakomicie. Nawet rodzinne tkalnie prosperowały na tyle dobrze, że ilość murowanych domów powiększała się z roku na rok, ale studnie wciąż gromadziły poskórne wody i brakowało gospodarskiego oka. Dopiero w 1920 roku polskie władze w nowym podziale administracyjnym włączyły obie, albo raczej już jedną miejscowość do bardzo rozległej gminy Brus, sięgającej od Lublinka po Teofilów. Niebawem, bo już cztery lata później zaczęło się ożywienie. Na Lublinku pobudowano potężną jak na owe czasy oczyszczalnię ścieków, a płynącą do niej Bałutkę ujęto w solidny kanał, postawiono remizę strażacką i rozpoczęto zwirowanie dróg.

Wtedy pan Władysław Szewczyk i jego dwaj bracia zaczęli chodzić do polskiej szkoły. Początkowo lekcje odbywały w co większych prywatnych domach, wszak i dzieci polskich było niewiele, lecz niedługo społecznymi siłami stanęła szkoła przy Jagodnicy. W niej polskie dzieci od piątej klasy uczyły się wraz z niemieckimi, które do tego czasu uczęszczały do miejscowej Kinderschutze. Życie toczyło się bezkonfliktowo, bo społeczność zrastała się harmonijnie. Bliżsi i dalsi sąsiedzi spotykali się nie tylko na piknikach nad stawami Żyda Bibela czy zabawach w remizie straży ochotniczej, ale na ćwiczeniach tej straży, przy układaniu chodników, albo sadzeniu kasztanowców wzdłuż głównych ulic Żółta. W 1925 roku powstał kościół katolicki pod wezwaniem św. Jana Chrzyciela obok dwóch od dawna działających parafii ewangelickich z kaplicami nad piekarnią Wichego i w domu Stefana. Polacy żenili się z miejscowymi Niemkami i wzajemnie Niemcy z Polkami.

Nie było różnic, - wspomina pan Władek - my uczyliśmy się niemieckiego, a oni polskiego. Raz byłem u kolegi w domu i on do matki przy stole odezwał się po niemiecku. Na to ona po polsku zwróciła mu uwagę, że przy gościu należy roz-mawiać tylko w jego języku i, choć zaprotestowałem, nie zmieniła zdania. Razem graliśmy w piłkę, prowadziliśmy loterie dla szkoły, chodziliśmy na ćwiczenia do Strzelca i zbiórki Sokoła. Loterie były często, bo latem co tydzień były tańce albo pikniki. Żyd Bibela miał dwa stawy, jeden nawet z rybami i łódkami, brał za wejście po 20 groszy od łębka, więc chodziliśmy tam bardzo często. No i piasek miał zawsze czysty. Na pikniki teren wynajmowali Niemcy, bo na ogół byli od nas bogatsi, ale bawili się wszyscy. Teraz tam stoi osiedle. - Spogląda na fotografię, która przedstawia grupę chłopców na boisku. W rozgrywkach między dzielnicami grał zawsze na pomocy - ten i ten ożenił się z Polką. Później razem chodziliśmy na zajęcia TUR-u. Żyliśmy jak w rodzinie aż do 1936 roku, kiedy zaczęli zakładać Hitlerjugend. Młodzi zaczęli wyjeżdżać do Reichu i między nami zaczęły się kłótnie. Starzy nie chcieli się w to mieszać, byli tu zżyci i nieźle im się wiodło, mieli warsztaty, sklepy, piekarnie, masarnie. Samych rzeźników było z sześciu: Ingling, Schubert, Schram i jego syn, Jaskólski i Nawrocka - wszystko Niemcy. Byli też tacy, co się tu całkiem spolonizowali jak Millerowie, Wernerowie, czy Fuxowie; nawet nie chcieli mówić po niemiecku. A w innych oknach pojawiały się swastyki, polityka młodym przewracała w głowach.

Kiedy wybuchła wojna, pan Władysław walczył w obronie Warszawy. Potem znów wrócił na Rąbieńską, bo nikt nie spodziewał się tego, co miało nastąpić. W roku 1940 hitlerowcy urządzili na Żółtnie łapankę, ciężarówkami zablokowały ulice i zaczęło się polowanie. Niektórych brali z "listy", jak braci Szewczyków. Matka pobiegła do młodego Henzla, z którym Władek grał w orkiestrze, żeby poświadczył ich niewinność. Henzel odparł, że w dzień - owszem, ale przecież nie może wiedzieć, co robią w nocy. Pewnie i tak by nie pomogło, bo ktoś musiał podać na gestapo, że Władek walczył we wrześniu. Droga Polaków ze Żółta powiodła przez Radogoszcz do obozów koncentracyjnych w Dachau, Mauthausen, Gusen i dla większości z nich stała się ostatnią podróżą w życiu.

Pani Władysława z d. Markowska urodziła się tu w roku 1930 i, chociaż jest wiele młodsza od p. Szewczyka, czasy przedwojenne wspomina podobnie. Rodzice mieli na obrzeżu Nowego Żółta piętnastohektarowe gospodarstwo, z którego pozostał córce ładny, drewniany dom z ogródkiem. W malutkim oczku wodnym tuż za płotem pływa para dzikich kaczek w cieniu rozłożystych drzew i ma się wrażenie, że czas tu stoi w miejscu od lat. Ojciec Władysław Markowski pracował dawniej w majątku Stendela w Jagodnicy jako gajowy, a później wykupił od niego te grunty i przedł na własną gospodarkę. Aż do wojny Markowski wiodło się dobrze, jeździli nawet własnym powozem i cieszyli się szacunkiem nawet samego Stendela. Markowski zresztą pomagał mu często w organizacji polowań, gdyż znany był jako wytrawny myśliwy. Stendel często urządzał na swój koszt zabawy w remizie, co stało się przedwojenną żółtnowską tradycją, a zagrodę wydzierzawił Żydom na chodowlę gęsi dla łódzkiej gminy. Raz Markowski zgodził się zawieźć z Niemcem Jaskólskim cały wóz mięsa na targ. Kiedy wjechali w las pod Teofilowem napadli ich bandyci z bronią. Jaskólski zmarł na zawał serca,

Markowski był lekko ranny w szyję, a całe zdarzenie opisał łódzki "Kurier". Napastników jednak nie znaleziono. W czasie wojny ich gospodarstwo zajął Stefan - Niemiec z Rąbie-ńskie, a Markowscy musieli się przenieść na jego - o wiele mniejsze z piaszczystym poletkiem. Bywało im często głodno i chłodno, ale wobec tego co spotkało innych p. Markowska mówi, że wyszli "obronną ręką". Miejscowi Niemcy również pomagali. Wielu młodszych Volksdeutsche zabrano na Ostfront, gdzie albo zginęli, albo utknęli w rosyjskiej niewoli. Ona, choć nie mieszka już w Łodzi, dom utrzymuje nadal i odwiedza go z mężem regularnie. - Ale tego, co się działo zaraz po wojnie, też nie popieram. - przyznaje p. Markowska.- Całe rodziny niemieckie utrzymywały się tu z chałupnictwa od po- koleń, jak choćby liczna rodzina Gatke, czy właśnie ten Hentchke. W czterdziestym piątym przyszli zabrać mu warsztat. Jak wynosili maszyny, on ich zaklinał na wszystkie świętości, że przecież niczym w wojnę tak nie zawinił, żeby pozbawiali chleba jego rodzinę. Oni mu na to, że niech sobie jedzie do Niemiec. Gdy zapakowali wszystko, zaczęli go szukać; weszli do domu, a tam Hentchke już wisiał nie- żywy na swoim pasku od spodni. Wysiedlone mieszkania i domy zajmowali zupełnie nowi ludzie, przyjezdni z całej Polski. Miejscowych było coraz mniej i wszystko się zmieniało. A przecież kiedyś było naprawdę dobrze, bo wszyscy się szanowali. - Pani Markowska zawiesiła głos. Opowiedziała jeszcze o Schultzu, który na Złotnie miał skład opałowy, a w czasie wojny po cichu wspomagał węglem najbiedniejszych. Pierwszy komendant posterunku Milicji nosił granatowy mundur po poprzedniku, ale zastrzył z tego powodu, że przed kościołem na oczach ludzi zastrzelił Schultza z małym synkiem. Widziała to na własne oczy i tak jak inni, była przerażona. Milicja pobiła jeszcze rzeźniczkę Nawrocką, lecz komendant kariery się nie dorobił.



Kiedy Władysław Szewczyk wrócił z obozu, rodzice i bracia już nie żyli. W pobudowanym przez ojca domu mieszkał pół Rosjanin Iwaniec z rodziną, więc zgodził się poczekać aż ich przekwaterują. Potem wreszcie znów był u siebie, ale bilans był gorzki. Dziś, mimo osiemdziesięciu siedmiu lat p. Władek płynnie z pamięci wymienia nazwiska sąsiadów, bez których wrócił na Złotno: Mordzanowski, Grzybowski, Tripenfeld, Durko, Józwiak, Wiszniewski, Hejna, Peda, Karolak i Olczak. Widział też, jak kolejno znikają Niemcy, a w ich miejsce pojawiają się obcy. Nic już nie mogło być takie jak dawniej, ale przecież było ich żal. Fuksa też chcieli na siłę wysiedlić do Niemiec, on jednak się zaparł, że umrze tu, gdzie się urodził i w końcu jakoś zostawili go w spokoju.

Na początku lat osiemdziesiątych pod dom Szewczyków zajechał samochód na rejestracji niemieckiej, z którego wysiadł starszy mężczyzna. W ogrodzie przed domem zastał córkę, więc zapytał po polsku: "czy tutaj mieszka Władek od gołębi?". Gołębie na dachu siedziały jak zawsze, a córka pobiegła do domu po ojca. Obaj panowie przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu, po czym ze wzruszeniem się przywitani. Był to Henzel od trąbki, z którym p. Władek na skrzypcach przygrywał w orkiestrze. Chciał wiedzieć czy Szewczyk ma wciąż żal o tamtą wojenną odmowę pomocy. Odwiedzili też kolegów, którzy po jego wyjeździe mówili: "porządny człowiek, ale Niemiec." Pani Marciniak wspomina inne, wiele wcześniejsze odwiedziny. Na początku lat siedemdziesiątych przyjechał Stendel na kilka dni. Odwiedził wszystkich dawnych znajomych, zaś przed odjazdem, tradycyjnie, urządził dla nich rodzinne przyjęcie w starej remizie OSP. - Czy trzeba było ich wygnać

wszystkich, tak bez różnicy? - zastanawia się głośno kobieta pod swoim starym domem. To byli w większości naprawdę dobrzy ludzie, a wtedy liczyło się tylko, kto był jakim człowiekiem. - dodaje p. Władek, wpatrując się w fotografię z boiska - I żeby nie ta polityka...

Ulica Cyganka swą nazwę zawdzięcza jedynemu Cyganowi, który ponoć kiedyś, przed wielu laty kupił tu dom i trzy dni z tej radości świętował wraz z sąsiadami. Fak przynajmniej głosi legenda, a stare domy, drzewa i wyboje ulicy zdają się istnieć tylko dla niej. Prawdziwi Romowie zamieszkali na innej ulicy dopiero po wojnie. Po stronie zdjętych torów tramwajowych Cyganka ma też nowe osiedle, pod płotem którego leży popękana płyta nagrobna z czytelnym napisem: "Aleksander Szmidt żył lat 60 zm. 1. 7. 41 pamięci rodziców dzieci". Czy i gdzie dziś są z tą pamięcią? Przecież nie mogą wiedzieć, że ich epitafium udaje krawężnik. Na Cygance płyta nie przeszkadza niczemu, sąsiad zza płotu posiał przy niej trawę i może nawet zanucił cichutko starą, znaną niegdyś piosenkę - "Sagt mir, wo die Blumen sind... ". Przecież jesteśmy już we Wspólnocie Europejskiej i język niemiecki to nie wstyd. Nawet tu, na Złotnie, gdzie poniemieckie drzewa rosną do dziś.



Autor: awers

Przedruk ze strony: http://uml.lodz.pl/miasto/o_mieście/wydawnictwa_o_lodzi/kronika_miasta_lodzi/

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl